

Z Jorgusiem na wiosennych skiturach w Alpach Retyckich – grupie górskiej Sesvenna

Jest rok 2007, listopad może już grudzień. Idąc któregoś dnia ul. Pędzichów na drzwiach wejściowych do pub-u widzę mały plakat zapraszający na wieczorny pokaz slajdów i wspomnień z zimowych wyjazdów skiturowych prowadzony przez Karola Życzkowskiego!. Jestem miło zaskoczony bo to przecież mój dawny kolega z liceum, z którym nie widziałem się chyba 15 lat. Po wieczornym pokazie, w którym towarzyszył Karolowi jeszcze jeden „prelegent” - Grześ Kabała, namawiam Karola, żeby dał mi szansę i włączył mnie do swojej ekipy skiturowców na najbliższy wyjazd w Alpy. Nie wiem czy zaważyła moja siła perswazji, czy hucznie nazwana przeszłość w służbach górskich (przez wiele lat byłem czynnym ratownikiem GOPR), ale Karol wyraził gotowość wprowadzenia mnie do swojej ekipy zastrzegając, że musi jeszcze z nimi ustalić ostateczny skład na najbliższy wiosenny wyjazd. I w ten sposób poznałem moich pierwszych dwóch „wyjadaczy” skiturowych – Karola i Grzesia, z którymi od tej pory zacząłem spędzać moje wiosenne wyjazdy alpejskie. Naturalnie Karol dotrzymał słowa i z końcem marca 2008 r. dołączyłem do ekipy jadącej realizować kolejny skiturowy projekt alpejski w rejonie Sesvenna Gruppe (*Piz Sesvenna - 3205 m npm*) na pograniczu Austrii, Włoch i Szwajcarii.

Rankiem 29 marca 2008 r. wyruszyliśmy z Krakowa w składzie Grześ Kabała, Jorguś Zachorowski i ja. Na trasie dołączyli do nas; Karol Życzkowski wracający bezpośrednio z jakiejś konferencji naukowej w Niemczech oraz Mariusz Karpa od wielu już lat mieszkający u naszych zachodnich sąsiadów. Późnym popołudniem dotarliśmy do małej wioski Schlining (*ok. 1700 m*). Po szybkim przepakowaniu, niemal od samego parkingu ruszyliśmy na nartach do Sesvenna Hute (*2256 m npm*) mając do pokonania ok. 600 m w pionie, ale z jednym trudnym progiem o dość stromym nachyleniu. Wkrótce okazało się, że moje umiejętności narciarskie na nie wiele się zdają w obliczu braku noży (harszli) do wiązań na tym stromym i twardym podejściu. Gdy więc wyszedłem na ostatnie plateau, z którego widać już było w oddali światła schroniska, moja ekipa otrzepywała już buty na jego werandzie.



Tak doładowani ruszamy z wioski Schlining – Jorguś robi za fotografa

W schronisku Sesvenna spędziliśmy pięć noclegów realizując każdego dnia inny projekt skiturowy. Z wyjątkiem pierwszego noclegu, gdy schronisko ze względu na weekend wypełnione było do ostatniego miejsca – 80 miejsc noclegowych i 80 par nart w narciarni, w pozostałe dni jadalnia, która zawsze jest centrum popołudniowej wymiany informacji pomiędzy poszczególnymi grupami skiturowców, tworzyła miłą i niepowtarzalną atmosferę.



Na werandzie schroniska Sesvenna - zasłużony kufel piwa po kolejnym udanym dniu skiturów – tym razem za fotografa robi Grześ

To właśnie tu w pierwszy wieczór po raz pierwszy poznałem niesamowitą osobowość i charakter Jorgusia. Warunki do uprawiania wiosennych skiturów w całych Alpach powodują, że chyba z całej Europy zjeżdżają miłośnicy tej formy aktywności i schroniska stają się jednym wielkim tygłem językowym. Język angielski jest naturalnie tym głównym komunikatorem dającym gwarancję, że z każdym napotkanym na trasie narciarzem wymienimy podstawowe informacje o pogodzie, przebytej trasie i kraju pochodzenia rozmówcy itp. To jednak za mało, aby w pełni uczestniczyć w „życiu towarzyskim popołudniowej jadalni”. Wprawdzie wszyscy pozostali członkowie naszej ekipy znają dobrze przynajmniej dwa obce języki, ale sposób w jaki Jorguś nawiązywał kontakt z dowolną ekipą skiturowców zrobił na mnie ogromne wrażenie. Nie miało dla niego żadnego znaczenia czy są to Niemcy, Szwajcarzy, Anglicy czy Francuzi – zawsze był gotów rozmawiać w ich ojczystym języku i to z taką swobodą, że często rozmówcy wątpili czy na pewno nie jest to jego język ojczysty.

Pokój, który całą ekipą zajmowaliśmy przeszedł nasze wszelkie oczekiwania, gdyż mieliśmy w nim do dyspozycji własną umywalkę a nawet prysznic. To wyjątkowa rzadkość w alpejskich schroniskach (szczególnie tych bez dostępu infrastruktury wyciągowej). Prysznic

był wprawdzie oddzielnie płatny, ale był. Tradycyjnie, chociaż ze względów oczywistych dopiero od kilku lat, mieliśmy zarezerwowane spanie oraz half pension. To duże udogodnienie, bo każdy dźwigany kilogram z kolejnymi metrami wysokości waży jakby więcej.



Cała ekipa na szczycie Rasass Spitz (2941 m npm)

Kolejne dni pobytu w grupie Sesvenny, mimo zmiennej pogody, pozwoliły nam w pełni zrealizować zakładany plan działania. Na początek, zmierzaliśmy się z Rasass Spitz (2941 m npm). Po ok. 2 godzinach podejścia, na ostatnich 30 – 40 m przed wierzchołkiem musieliśmy, dla zachowania bezpieczeństwa, ściągnąć narty, ale warto je było zabrać bo mogliśmy się cieszyć pięknym zjazdem z samego szczytu na stronę północną w kierunku doliny Vallung. Ten pierwszy w pełni narciarski dzień od razu pokazał, że Jorguś będzie moją bratnią duszą. Ku mojej radości potrafił „odpuścić” niektóre warianty podejścia realizowane przez pozostałych członków naszej ekipy, co skrzętnie wykorzystywałem towarzysząc mu i w ten sposób moja słaba kondycja nie opóźniała pozostałych.



W poniedziałek 31 marca, wykorzystując nadal wyśmienitą pogodę decydujemy się na zdobycie Piz Sesvenny. Dzięki licznym śladom pozostawionym przez weekendowych skiturowców z łatwością odnajdujemy drogę na graniczną przełęcz Furkel (2824 m npm) a następnie przez mały lodowiec Sesvenna na przełęcz w głównej grani, tuż pod celem naszej wyprawy. Realizujemy kolejny krótki „popas” i już w samych rakach, z nartami na plecach osiągamy wierzchołek. Tradycyjnie już Karol, Jorguś i Grześ analizują topografię rozlegającą się ze szczytu, zapinamy narty i całą piątką ruszamy niemal ze szczytu, szerokim południowo-wschodnim zboczem. Piekące słońce i perspektywa chłodnego piwa na tarasie schroniska mobilizuje nas do szybkiego powrotu. Karol nie byłby jednak sobą, gdyby

w drodze powrotnej nie dostrzegł jeszcze jakiegoś bocznego wariantu, do zdobycia którego wszystkich namawia. I tu ponownie Jorguś przychodzi mi z odsieczą bo pozostaje ze mną, kompletnie już wykończonym, podczas gdy pozostali poszli zrealizować plan dodatkowy. Dzięki temu, wracający ze szczytu zyskują wykonane przeze mnie, z dużej perspektywy, zdjęcia i fragmentami nakręcony film z ich zjazdu. W drodze powrotnej, w odległości może 500 metrów od schroniska, na zupełnie płaskim terenie tracę nagle równowagę i padam w śnieg jak długi. Nic mi się nie dzieje, ale mam problem z ponownym zapięciem jednego wiązania. Nie dając rady na miejscu go naprawić, ostatni odcinek pokonuję na butach. I znowu z pomocą rusza niezawodny Jorguś. Zaraz po powrocie sięga do swojego tajnego przybownika i już bierze moją nartę, żeby sprawdzić co można zrobić. Jego ogromna smykałka do rzeczy technicznych powoduje, że w parę minut zyskuję ponownie sprawne wiązanie.



Jorguś na szczycie Sesvenny

Kolejne dni przyniosły nam zmienną pogodę, która pozwoliła na zrealizowanie każdego dnia jakiegoś nowego projektu, ale kilkunastogodzinne grzejące piekielnie słońce przeplatało się z padającym śniegiem, wiatrem i mgłą utrudniającą powrót do schroniska nawet po własnych śladach. W czwartek 3 kwietnia, zaraz po śniadaniu, podjęliśmy decyzję o poszukaniu pogody w innym rejonie Alp Retyckich. Spakowaliśmy plecaki i zjechaliśmy na nartach do samochodu. Na parkingu pożegnaliśmy się Mariuszem, który musiał już wracać do Niemiec, a sami ruszyliśmy w kierunku doliny Valledunga szukając „okna pogodowego” na jeszcze jedno ciekawe wejście. Jednak po kolejnym noclegu w dolinie i uzyskaniu informacji o zamkniętym schronisku pod Palla Bianca (Weisskugel) zdecydowaliśmy, że skracamy nasz pobyt i wracamy do Polski.

Patrząc dziś z perspektywy tych dziesięciu lat od pierwszego mojego wyjazdu z Jorgusiem, pomimo zrealizowania w kolejnych latach kilkunastu wspólnych wyjazdów górskich, mogę powiedzieć tylko jedno – Dlaczego Jorgusia tak późno poznałem? Bo przebywanie w jego towarzystwie było dla mnie zawsze wielką przyjemnością. Był człowiekiem niezwykłym, bardzo otwartym do ludzi, przyjaznym i uczynnym. Ale przede wszystkim był nieprzeciętnym intelektualistą, z którym z jednej strony ciężko się było mierzyć a jednocześnie, który był empatycznym rozmówcą i aktywnym słuchaczem. Zachowam go w pamięci jako wspaniałego kompana, ciepłego i niezwykle serdecznego człowieka.